

Pogawędka niedzielna

Chochlik drukarski

Każdy człowiek ma swoje osobiste zmartwienia, oraz zmartwienia płynące z uprawianego zawodu, czyli — że tak powiem — zmartwienia fachowe. Od tych ostatnich losy nie uwolniły nawet osób koronowanych i ministrów. Eksemplum, tak zawsze pogodny minister spraw zagranicznych pewnego mocarstwa, które aktualnie wiedzie spór z miastem portowym nad Bałtykiem. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że im kto wyższy piastuje urząd, tem większe spadają na niego zmartwienia. Pocieszymy się jednak: im wyższe zmartwienie, w tem droższym topi się alkohol. Dozorcy domu, dla zalanania robaka, starczy trzy z pieprzem wypite w narażonym szynku — dygnitarz wychyla natomiast co najmniej i to w wytwornym lokalu. Jeżeli chodzi o Warszawę, to pewno w Oazie, Adrii, a przynajmniej... u grubego Joska. Zresztą nie znam się na tem, bo nie jestem dygnitarzem, lecz zwykłym śmiechem telnikiem i autorem...

Dlatego właśnie moje fachowe zmartwienia sprowadzają się do zmartwień autorsko — pisarskich. Większą ich część powoduje t. zw. chochlik drukarski. Mile to stworzonko naposilało w poprzek mej pogadance tak okropnie, że czuję się w obowiązku wytłumaczyć z tego Czytelnikom. Inaczej mógłbym zostać posądzony o to, że siedzę u Jana Bożego w ścisłym odosobnieniu i pod czułą opieką srogich pielęgniarzy. Wątpliwość budziłoby jedynie pytanie, czy nastąpił wybuch ostrego szału, czy fiksacja łagodna i melancholijna... Tymczasem wszystko jest w porządku, a tylko stary nieprzyjaciel pisarzy, złośliwy Chochło, zaciera ręce i cieszy się ze swoich figliów.

Żeby go złapać na gorącym uczynku, musimy zejść do chwili za kulisy współczesnej drukarni i redakcji. Prowadziłem kiedyś Czytelników za kulisy Radja, teraz więc proszę do drukarni.

Maszyny huczą, linotypy stękają, lecz Imię pan Chochło czuje się wśród tego hałasu znakomicie. Przysiadł za zecerem i patrzy, jak ten wybija maszynowo na metalu litery. Spada wiersz za wierszem w postaci małych prostokątnych słupków, stanowiących całość. Chochło chichocze z uciechy, gdy

Przed utworzeniem woj. stołecznego

Wydział samorządowy Urzędu Wojewódzkiego zgromadził już materiały, dotyczące stanu gospodarstwa gmin i powiatów, które według projektu ustawy o samorządzie stołecznym miałyby być włączone do województwa stołecznego.

Materiały te zostaną w najbliższym czasie przekazane ministerstwu spraw wewnętrznych i będą przedmiotem rozważań rządu.

T. Dołęga-Mostowicz

Diwaczne bajki o śmiesznych ludziach

Chłopak czy dziewczyna, którzy dzisiaj mają lat dwadzieścia kilka, zdrowe mięśnie, opaloną skórę i trzeźwy pogląd na życie, z niedowierzaniem, a w każdym razie ze zdumieniem będą słuchać opowieści ludzi niestarych zresztą o ich czasach, czyli powiedzmy o pierwszym dziesięciu lat naszego wieku.

Co za przepaść! I to nie przepaść wypelniona po brzegi bujnym postępem cywilizacji materialnej, to nie samoloty i radio, nie lodzie podwodne i balony stratosferyczne, lecz przepaść między pojęciami.

Przyjrzyjmy się inteligentowi polskiemu z owej chronologicznie niedawnej epoki. Przedewszystkiem musiał być uduchowiony, a zatem cała jego postać powinna była wyrażać pogardę dla spraw doczesnych i materialnych. Swego rodzaju nieprzyzwoitością było noszenie całych, Boże broń, wycyzkowanych butów. Porządnie zawiązany krawat stawał się

dostrzeże błąd. Bo kiedy korektor wyłowi pomyłkę — zecer będzie musiał wybić cały wiersz nanowo. Przy tej okazji poprawi zapewne błąd poprzedni, lecz może popełni dwa nowe?... Czy to nie uciesza dla Chochlika?...

Na początku swego zawodu pisarskiego miałem na tem tle taki uporeczywy spór z Chochlikiem: W dialogu powieściowym napisałem następujące zdanie:

„Nie czas, panie doktorze, filozofować, tu trzeba radzić!” — rzekł Antoni“.

W druku wyszło tak:

„Nie czas, panie doktorze, filozofować, tu trzeba zradzić!” — rzekł Antoni“.

Dostrzegłszy błąd, poprawiam go, lecz oto, co wychodzi w t. zw. drugiej korekcie.

„Nie czas, panie doktorze, filozofować, tu trzeba rodzić!” — rzekł Antoni“.

Poprawiam raz, potem drugi i trzeci, ale nic nie pomaga! Słowo radzić, wciąż brzmi jak rodzić. Byłem wściekły! Uporczywie trzymanie się przekonania, że „trzeba rodzić”, złościło mnie tem więcej, że mój pan Antoni nie nadawał się absolutnie do tej czynności już choćby z racji swojej pleci. Dzięki Chochlikowi trwał jednak w swym uporze aż do czwartego rekty, przy której wreszcie ustąpił.

Uszy Chochlika napawa specjalną radością metaliczny pbrzek wierszy, kiedy się je szereguje jeden pod drugim. Jakże wtedy łatwo pomylić porządek! Najczęściej spotykane w gazetach błędy płyną z takich właśnie pomyłek. Zdanie toczy się prawidłowo i logicznie, aż tu nagle coś się rwie... Pod oczy nasuwa się wiersz najwyraźniej niemający nic wspólnego z poruszaną kwestją. Wzrok przelatuje o dwa wiersze dalej i łowi nareszcie to, czego się spodziewał. Po tem następuje znów jakiś bezsens, lecz z zadowoleniem korygujemy go natychmiast, podnosząc oczy o dwa wiersze wyżej, bo zapamiętaliśmy, że tkwiło tam zakończenie tego zdania, które akurat cytujemy.

Na pisakusy przedstawiania wierszy nie poradzi nawet najwprawniejszy korektor, czyli osoba, której obowiązki w redakcji polegają na wyławianiu błędów.

Oddawna utarł się zwyczaj, że składając rękopis w redakcji, pisze się tylko po jednej stronie kartki, drugą pozostawiając całkowicie pustą. Ułatwia to pracę zecerom, którzy przy żmudnym śledzeniu nad rękopisem nie potrzebują odwracać kartek. Trzymałem się zawsze tego przepisu bardzo skrupulatnie. Ostatnio wszakże, nadsyłając rękopisy z dalekiej prowincji, nie zastosowałem się do panującego zwyczaju. Złośliwy Chochlik nie omylił się z tego skorzystać. Kiedy zecer złożył pierwszą stronę rękopisu, szepnął mu na ucho:

— Nie odwracaj kartki, choć napisane „verte”, lecz składaj następna!

Stalo się zadość życzeniom złośliwca i oto, co z tego wyszło? Stronę pierwszą rękopisu złożono zupełnie prawidłowo, ale jako dalszy ciąg dołączono do niej stronę trzecią. Potem zecer kartki odwrócił i dodał drugą, a po niej czwartą. W ten sposób sens pogawędki został pocięty na cztery zupełnie nie odpowiadające sobie części.

Oj, Chochliku, Chochliku!...

Lecz dość drobnych autorskich zmartwień! Nieką one całkowicie wobec wielkich wypadków historycznych. O portowych zdarzeniach już napomknąłem. Niestety, wyczerpując i dokładnie nie mogę o nich napisać, bo trudno mi tutaj na wsi znaleźć gazety zagraniczne, a według oddawna utartego zwyczaju w Polsce — o Polsce nie dowiadujemy się w Polsce... Zwyczaj miły i bardzo praktyczny. Coby sobie bowiem pomyślała opinia publiczna, oddawna usypiana najświeższą kółką „Polak Niemiec dwa bratanki”, gdyby wyczytała w „Temps” przypuszczenie, że polityka polska znajduje się w przededniu zwęsklowania z dotychczasowych torów? Jaki taki naiwniaczek mógłby zapytać:

— Pociosmy wogóle jeździć po tamtych torach?

Mysł zaś taka jest niezdrowa i zgola nie na miejscu. A wiadomo, że lepiej całkiem nie myśleć, niż myśleć niezdrowo.

Drugie wielkie wydarzenie w Polsce współczesnej nosi imię: „ósma rano”. Kłopoty się nie pan Premier. Zawodowi dowcipnicy kuja na ten temat „vite”, ale według mnie zupełnie niesłusznie. Akcja pana Premiera w naszych stosunkach jest całkowicie na miejscu. Wprawdzie gdybyśmy wyczytali w depeszach zagranicznych wiadomość: „Premier Baldwin odwiedził dziś rano biura kvestury uniwersytetu w Oxfordzie i stwierdził, że sześciu urzędników nie wysiadują o tej porze dziur w fotelach” — to zdziwilibyśmy się nieco.

Co innego jednak zagranica, co innego Polska. Sprawność biurokracji na Zachodzie ćwiczone już od XVIII wieku. Urzędników pruskich przyzwyczajano do punktualności i wyłożonej pracy ojciec Fryderyk II — Fryderyk-Wilhelm I, stosując wprost drakońskie środki. Tradycje biurokracji francuskiej sięgają kardynała Richelieu’go, więc sprawność jej urabiano w ciągu lat trzystu. U nas inaczej. Polska szlachecka biurokracji — w ścisłym a zarazem dodatkiem tego słowa znaczeniu — nie posiadała całkowicie. W czasach niewoli rządzili nami obca i wroga nam biurokracja z wyjątkiem b. zaboru au-

strackiego. Gdy to weźmiemy pod uwagę, energia, z jaką pan Premier uczy punktualności, nie będzie nas ani dziwić, ani dostarczać tematu dla dowcipów. Przeciwnie — przykłaśniemy jej z całą satysfakcją.

Klaskanie może wypadnie nawet zanadto rozgłośnie, ale to nie nasza wina. Biurokracja dość już zalazła społeczeństwu za skórę i dlatego cieszymy się, gdy ktoś skolei ją samą ćwiczy i poucza.

Przyszła kreska na Matyska! — uśmiecha się jeden szary obywatel do drugiego szarego obywatela i w oczach czyni im się mniej szaro.

O popularności poczynił pana Premiera miałem możność przekonać się, będąc świadkiem dwóch scen, które zasły tuż w stosunkowo krótkim przeciągu czasu jedna po drugiej.

Pierwsza scena dzieje się w urzędzie gminnym. Przed czarnymi kratkami stoi starozakonny obywatel w chalcie z miną ni to potulną ni to chytrą. Urzędnik tłumaczy z za stołu szeroko i długo, że sprawa nie da się szybko załatwić. Obywatel słucha, gładząc sobie czarną brodkę. Wreszcie przerywa z właściwym rasiem uśmiechem.

— Czy pan sekretarz wie, co teraz stoi na czele rządu w Warszawie?

— Pan generał Składkowski.

— Nu?

— Nie rozumiem, co pan chce powiedzieć?

— Co ja mam mówić? Ja nie mówię, ja tylko do niego napiszę, to wszystko się przyspieszy. Ja tylko nie wiem, czy pan będzie z tego zadowolony?

Druga scena rozgrywa się na malej stacyjce. Aktorzy jej, to zążywny i energiczny przedsiębiorca kopalniany oraz ekspedytor. Przedsiębiorca żądać się, że nie dostał na czas wagonów. Dyskusja między obu panami przybiera coraz zwawsze tempo, aż w pewnym momencie czerwony, jak pomidor, przedsiębiorca woła:

— Na was przydałoby się czterech takich generałów jak p. Składkowski. Jednego za mało!

Powtarzam, że nie jestem biurokrata, lecz gdybym nim był, to po wysłuchaniu obu powyższych dialogów, miałbym swoje „fachowe” zmartwienie. Przykro byłoby mi mianowicie, że jako urzędnik budzę taką „sympatię” wśród społeczeństwa.

W sierpniu ponoć mają nastąpić daleko idące zmiany w systemie rządzenia. Czy znikną wtedy fachowe zmartwienia biurokracji i zapanuje system, przy którym rządzeni nabiorą pełnego zaufania do rządzących?

Ano zobaczymy. Sierpień już za pasem.

Jan Waśniewski.

Na ekranach

„WESOLY DONZUAN”
W KINIE „STYLOWYM”

Skoro już w letnim sezonie nie stawiamy filmom zbyt surowych wymagań, a publiczność szuka w kinie przedewszystkiem rozrywki i chłodu, wolno wśród blahych a często i nudnawych obecnych programów, polecić miłą komedję z Robertem Montgomery w roli we sołego donzuana i Myrny Loy, uosabiającą obłąkaną twierdząc nie winności. Oczywiście, w końcu twierdza kapituluje, ale walki i szturmów obfitują w tyle niezwykłych sytuacji, że chętnie i z uśmiechem przyglądamy się zalotom Montgomery’ego.

Na dalekiej północy, na krańcu Labradoru, młody Anglik pełni obowiązki radiotelegrafisty. Żyje samotnie, jedynym jego towarzyszem jest służa Eskimos. Statek odwiedza placówkę tylko 2 razy na rok, gdyż niezawsze może prze dostać się wśród kry lodowej. Radiotelegrafista gra sam ze sobą w warcaby, nigdy odrazu nie czyta całej poczty (poczta przychodzi 2 razy do roku), lecz codziennie dla rozrywki otwiera po jednym liście i stara się, jak może, zwalczać dławiącą nudę.

I oto nagle, wśród ponurej polarniej zimy — bomba! W pobliżu stacji radiowej przynusowo ląduje zbłąkany samolot. W samolocie

para narzeczonych: on — stetryczny nudziarz, ona — młoda i piękna dziewczyna. Wybraли się samolotem do dość odległego miejscowości, gdzie „on” miał wygłosić przemówienie, burza jednak, wichler, śnieżna zawieja i wola autora scenariusza sprawiły, że samolot zboczył z zamierzonej trasy i trafił na lodową pustynię. Niebawem to prawdopodobne, ale pocieszymy się, że i śnieżny Labrador zrobiony w atelier z dekoracji, również nie wygląda prawdopodobnie.

Gdy radiotelegrafista po 2 latach samotności zobaczył „białą” kobietę, zaczął zachowywać się tak, że „goście z nieba” zwątpili o jego zdrowych zmysłach. Pierwszą ich reakcją był przestrah, potem zjawilo się zaciekawienie (oczywiście tylko u pięknej pasażerki samolotu), do czego zaś ciekawość kobieca doprowadziła, możemy zgadnąć.

Robert Montgomery gra swobodnie i z humorem, Myrna Loy jest jak zwykła laleczkowata, szablona reżyserja, radzi sobie jednak dość dobrze z wykorzystaniem możliwości dowcipnego scenariusza, który zresztą jest podstawą powodzenia filmu. Całość — raczej teatralna, przypomina kameralne sztuki, pisane dla duetu czy tercetu aktorskiego.

Z. B.

Listy do redakcji

Jeszcze w sprawie „Strasznego Dworu”

Szanowny Panie Redaktorze, W związku z ogłoszonym w prasie listem otwartym p. Emilowej Młynarskiej, uprzejmie prosimy o zamieszczenie następującego wyjaśnienia:

1. Przy ustaleniu wytycznych wydania partytury orkiestrowej i wyciągu fortepianowego opery „Strasznego Dworu” Moniuszki i po zapoznaniu się z całym dostępnym materiałem, Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej doszło do przekonania, że pierwsze wydanie tego arcydzieła polskiej literatury operowej powinno zawierać tylko autentyczną wersję kompozytora.

Jako podstawa do ustalenia oryginalu opery służy przedewszystkiem: a) autograf partytury ze zbiorów Towarzystwa Muzycznego w Krakowie, b) autograf wyciągu fortepianowego ze zbiorów Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego i c) autograf libretta J. Chęcińskiego ze zbiorów Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego. Poza tem pomocniczym materiałem porównawczym są kopje partytur z Oper Warszawskiej, Lwowskiej i Poznańskiej oraz z Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego.

2. Opracowanie „Strasznego Dworu” przez Emilię Młynarską jest nam znane i egzemplarz opracowania znajduje się w posiadaniu Towarzystwa. Jednak, zdaniem naszym, opracowanie to, mimo niewątpliwych walorów, w wielu punktach oddala się od intencji Moniuszki i z tego względu nie może być podstawą podjętego pierwszego wydania opery.

Zaznaczamy, że nad wydaniem opery czuwa specjalny komitet redakcyjny, złożony z wybitnych specjalistów. Komitet powierzył przygotowanie do druku „Strasznego Dworu” p. p. Dr. Z. Łatoszewskiemu, Dr. H. Opińskiemu oraz prof. K. Sikorskiemu. Zauważamy, że p. Emilowa Młynarska przed ogłoszeniem w prasie swego listu nie zechciała do nas się zwrócić o wyjaśnienie. Prosimy przyjąć wyrazy prawdziwego poważania

skiego Towarzystwa Muzycznego.

Za Zarząd
(—) T. Zalewski, (—) Dr. J. Puliński.

Sukces polskiej pieśni ludowej w międzynarodowej audycji radiowej

Z okazji odbywającego się obecnie w Hamburgu „Światowego Kongresu dla Spraw Wypoczynku po Pracy” — radiofonja nie miecka organizuje wielki koncert poświęcony pieśniom ludowym i tańcom 18-tu narodów, które biorą udział w obradach tego Kongresu. Koncert pod znamienym tytułem „Budujemy mosty” nadany będzie 25 b. m. w sobotę, a więc w dzień wypoczynku, o godz.

20.10 z Hamburga na wszystkie rozgłośnie niemieckie.

Ciekawe jest, że w tej zbiorowej audycji Polska zajmuje pod względem czasu trwania II-gie miejsce po Francji. Część polska tej audycji pochodzi z koncertu radiowego, jaki Polskie Radio na dało w dn. 23 czerwca b. r., a którą Berlin nagrał na płytę i obecnie umieszcza w międzynarodowej audycji radiowej.

Ale odbiegam od tematu. Otóż dla dzisiejszego młodego pokolenia opowieść o kulcie brudu i charłactwa z przed ćwierć wieku będzie jakąś bajką groteskową. Postęp higieny i sportu zrobił swoje. Z kultem zezadzonego mistycyzmu i mętnego niezrozumienia, wywodzących się z ciemnoty patriotycznego, rozprawiła się historia, zachowała się jednak wśród nas w stanie niezmienionym jedno curiosum z owych czasów: to kult niepowodzenia.

Nastąpiło wszakże pewne przesunięcie w terenie. Epoka, o której mówilem, była przecie jednocześnie epoką pięknego rozwoju pozytywizmu, epoką Wokulskich i Polanieckich. Lecz stanowili oni odrębny świat, świat wręcz nie graniczący z Młoda Polska, władającą despotycznie w departamencie ducha, nie mającą jednak

(Dokończenie na str. 6-cj)

żywania mydła. To też nigdy nie przyznano mu talentu, chociaż wychodząc z domu nie zapomniał nigdy otrzeć się ramieniem o białą ścianę. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego przegrana pozycja. Tam, gdzie charłactwo fizyczne dawało patent na mocarstwo ducha, a brudna koszula stawała się sztandarem wartości ludzkiej, nie miał nic do zdobycia.

Nadomiar nieszczęść gnębił go jeszcze jeden pech: miał powódź. To już była rzecz zupełnie niedopaszcza! Powódź raz nazawsze i bezapelacyjnie dyskwalifikowała go jako malarza, jako dramaturga i w ogóle jako inteligenta. Bo to było niesłychane. Gdy zrobił portret pana z fajką, to każdy widział, że to pan z fajką, że jest to pan z fajką i nie miał najmniejszych wątpliwości, czy pędzłem wyobraża zachód słońca na Capri, czy sen Anhellego w jurcie Kameczadłow. Jakże to tak? Albo z jego komedjami! Postacie w tych komedjach wręcz nie umiały zachowywać się inaczej, niż po ludzku. Mało tego: ośmielały się mówić ludzkim, codziennym językiem, bez alegorii i metafor. Gdy bohater chciał zjeść befsztyk z cebulką, odzwalał się po prostaku:

— Proszę o befsztyk z cebulką. Zamiast zawołać z jękiem (patrz w okno):

— O czemuż, Orestesie, dziedzić kłatwę tych jeli, co złowieszczym bulgotem zagłuszyły trzask kości przyjaciół w szczękach Seyli, czemu pragnę komunji z mięsa i krwi z najłustszego cielca, zabitego na powrót marnotrawnego, lecz dobrze trawionego, cheu! syna, czemu pożądanie mnie spala do owej latości wonno, jak Twoje włosy, o Nizanno, latości, której korzeń w kształt kopuł bizantyjskich rzeźbiony z ojczyściej ziemię ssie prochy wikingów i mleko matek scytyjskich za jedno, aż ciępkę się staje, nieczem marzenie o Potędzie i żyze żrenie osłepłych wyściska, lzy szłochu po Utraconej... Objato!... Boleję, lecz stań się!... Tak pięknie i głęboko nie potrafił mówić żaden bohater mego dramaturga. I cóż dalej, kto mu przynosił żądany objat? Myślicie może, że najodpowiedniejszy do tej funkcji Wernyhora, Szaman lub chociażby Aleksander Macedoński?

Nie. Zwykły, pospolity kelner z półmiskiem w ręku i z serwetką pod pachą. Nieszczęście!

Jakież uznanie u współczes-

nym wzniosłych duchów mógł zdobyć taki autor! To też osiągnięcie zaledwie „pobłażliwe milczenie krytyki. Natomiast profany, filistry, przyziemni ludzie zachwycali się tą prostotliwością godną potępienia. Drzwiami i oknami publiczność waliła na jego sztuki, za obrazy płaciła dobre pieniądze, co pozwoliło mu nie tylko nie przynierać głodem, czyli wyrzec się jednego z głównych przywilejów istot wysublimowanych, lecz, o zgrozo! — żyć całkiem dostatnio. A to już w żadnym razie nie mogło być wybaczone. Popularność w owych czasach degradowała artystę, to, że go wszyscy rozumie, dyskwalifikowało go raz na zawsze, jeżeli jednak osiągnął powodzenie materialne, był zgubiony bezpowrotnie. Różne długi, noski i kibice, redakcyjne ratunki, esteci, od których na pięć metrów czuć potem, gorzalka czy stęchłazna, wywołowane pulardy w sędziwym wieku, masturbanci intelektualni i myśliciele kawiariani, autorzy premier i ineditów — wszystko to rzucało się na winowajcę, działo go po piętach, obszczekiwało piskliwym skomleniem, zadzierało nóżki i świadcząc sobie wzajemne duse-ry, tworzyło opinie. Opinię, która niestety pozostawała bez żadnego,